

DOM POLSKI

PISMO BELLETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu 1, 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok I.

— 2 — Poznań 20 kwietnia, 1888 r. — 3 —

Nr. 12.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedpłacicieli krajowych; dla Galicyi 5 zlr. rocznie, 1 zlr. 25 cent. ćwierćrocznie, z przesłaniem egzemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciele, odbierający „Dom polski“ w ekspedycji, lub w redakcyi, płacą tylko 1,50 mrk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w ekspedycji, ulica Podgórna nr. 8 — lub w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, I piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko ekspedycja, lub redakcyja. — Inzeraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednołamowego. — Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcyja.

WILLA ERLACH.

Powieść przez Ossipa Schubina.

Z języka niemieckiego tłómaczyła A. P.

(Ciąg dalszy.)

Zdrowie pułkownika pogarszało się z dniem każdym; nieprzyzwyczajony oszczędzać się, a przytem bez chęci do życia tak pogorszył stan swego zdrowia tą spartańską niedbałością, że lekarze nakazali mu kuracyą u czeskich wód w Gleichenbergu, ażeby zdrowie jego jako tako doprowadzić do porządku. Odzyskawszy w części utracone siły, nie zważał na przestrogi lekarzy i wstąpił na nowo do służby; zapalenie płuc, którego się podczas jesiennych manewrów nabawił, zwichnęło na zawsze słabe jego zdrowie. On sam nie przeczuwał wcale tak blizkiego końca, chociaż swe zdrowie w tak smutnych kolorach biednej Stelli wystawiał. Sądził, że ma jeszcze parę lat do życia, a nieprzyjaciel bezczynności obawiał się ciągle przedwczesnego uwolnienia ze służby i emerytury, tem więcej, że skrzywione ostatnim reumatyzmem członki, pomimo wszelkich starań i męczarni, sprostować się nie dały, a czasami zupełnie odmawiały posłuszeństwa.

Hotel Britannia posiadał w tym czasie liczną, arystokratyczną, po części austriacką klientelę; niektórzy bawili dla poratowania zdrowia, ale większa część, aby spędzić czas jakiś w romantycznej miejscowości pod włoskim niebem w niczem się niekrępującem towarzystwie.

Pułkownik ogólną posiadał sympatyą, a wszyscy lubili ładną jego córkę, nawet kobiety, których rady pułkownik zasięgał w kwestyi reformy garderoby córki. Przy „table d'hôte“ Stella z ojcem pierwsze zajmowała miejsce, wśród tego grona arystokratycznego, które z pogardą spoglądało na siedzących na szarym końcu stołowników, określając ich złośliwie nazwą: „menażeryi.“ — Litowano się nad córką umierającego biedaka, a naturalny wdzięk i prostota Stelli zwiększały jeszcze tę sympatyą. Starsi panowie obsypywali ją komplementami i szczególnymi względami; młodszy otaczali rycerską prawie grzecznością. Jednym z największych jej wielbicieli był piękny, czarnooki książę Lino Capito, poświęcający cały swój wolny czas na usługi Stelli, bo ostatnia królowa jego serca, sławna księżna Obłońska, wyjechała do Petersburga rozpatrzyć się w interesach majątkowych nagłego zmarłego męża. Co-

dziennie rano przysyłał ów wielbiciel Stelli najpiękniejsze kwiaty dla przybrania niemi salonu chorego ojca.

— Chorzy zazwyczaj tak bardzo lubią świeże kwiaty, usprawiedliwiał się, pokazując w uśmiechu dwa rzędy białych, połyskujących zębów; kiedy pogoda sprzyjała i siły pułkownika pozwalały na to, zapraszał obojga do złoconej swej gondoli, aby z nim wspólną po Adryatyku odbyli przejażdżkę.

Meineck często wspominał żonę, tęsniąc za nią niewypowiedzianie. Ostatnie lata wspólnego pożycia, rozwód, rozłączenie się z dziećmi były dlań zbyt przykrem wspomnieniem, aby miał myśleć o tem, a zwyczajem ludzi, czujących zbliżający się koniec, powracał z upodobaniem do wspomnień najdalszej przeszłości. Żona, z którą się rozwiódł, ta uczona, zimna, nierzędna kobieta zupełnie się zatarła w jego pamięci; on widział jedynie młodą i piękną narzeczoną, gdy w jasnej, powłóczystej sukni schylała się nad łóżkiem chorego z czarującym na ustach uśmiechem. Przez wielkie okna szpitalnego pokoju słońce wpadało szerokim blaskiem, rzucając światło na improwizowany ołtarz, a na nim złoty krzyż, opromieniający głowę Chrystusa podwójną glorią.

Pewnego ciepłego dnia, kiedy płynęli gondolą po kanale *grande*, pułkownik zwrócił uwagę córki na pyszny pałac starożytnej budowy:

— W tym pałacu leżałem ciężko ranny, rzekł, kiedy matka twoja przybyła mię pielęgnować; było to w roku pięćdziesiątym dziewiątym, a to były dwa okna mego pokoju — dodał, spoglądając ku pałacowi tęschnie... z westchnieniem.

Po powrocie do hotelu Stella zajęła się pisaniem listu do matki, a pułkownik wypoczywał, leżąc na szezlagu z przymkniętymi oczyma:

— Stello, zapytał nagle, czyby się matka nie dała nakłonić do przybycia tu na parę tygodni wraz z Francją? Nie potrzebowałyby przecież mieszkać w tym samym, co i ja hotelu, gdyby jej to miało być przykrem... ale napisać musisz, że wielką zobaczenie się z nią sprawiłoby mi

przyjemność, dodał niepewnym głosem; napisz, że jestem bardzo chory, to może ją wreszcie do przyjazdu zniewoli.

Z gorączkową niecierpliwością oczekiwał odpowiedzi; po upływie tygodnia nadeszła paczka niewiele obiecujących recenzji o nowem dziele baronowej, wydanem własnym nakładem, a dopiero w trzy tygodnie potem obszerny list pod adresem Stelli.

I coż pisze matka? zapytał pułkownik, widząc, że Stella sili się na odcyfrowanie nieczytelnego prawie pisma. — Czytaj głośno, kochanie, prosił niecierpliwie, wiesz przecież, jak mnie obchodzi każda wiadomość z domu; czy matka przyjedzie?

Biedna Stella, z ciemnym rumieńcem na twarzy, wyjąkała ze łzami:

— List mój musiał zaginać w drodze, bo mama nic nie wspomina o naszym projekcie.

Meineck ze wstydem odwrócił głowę i przystąpił do okna, przyglądając się z uwagą odpływającemu właśnie parowcowi.

— Szkoda, westchnął po chwili półgłosem, byłbym ją chętnie prosił o przebaczenie.

Od chwili przybycia Stelli do Wenecji pułkownik, czując się zdrowszym, z jakąś szczególniejszą przyjemnością rozmawiał o zbliżającej się śmierci; od czasu jednak, kiedy koniec jego zdawał się przyspieszać z dniem każdym, stannianie, trwożliwie prawie unikał wszelkiej wzmianki o tym przedmiocie. Doktor odwiedzał go codziennie; czasami przychodził nawet częściej; wypijał zawsze butelkę „scherry“ i opowiadał o cudownych prawie uleczeniach w czasie długoletniej swej praktyki. Z początku wyrażał się pocieszająco o ustępowaniu stawowego reumatyzmu, obiecywał zupełnie wyleczenie, następnie mniej już robił nadziei, a wreszcie w końcu kwietnia zaproponował Meineckowi poddanie się operacji płuc. Pułkownik bystro spojrzął mu w oczy i pod jakimś pozorem wysłał Stellę do przyległego pokoju:

— Jak długo jeszcze ze mną potrwać może, zapytał lekarza; bądź pan szczerzy, jestem żołnierzem i nie obawiam się śmierci.

— Jeżeli nic nadzwyczajnego nie zajdzie, to zawsze jeszcze kilka miesięcy.

— Rozumiem — nie wspominaj pan o tem mojej małej.

Tego samego wieczora siedział dłużej, niż zazwyczaj, zajęty pisaniem; ale nie szło mu dzisiaj wcale, przerywał sobie ciągle, drąc dopiero co zapisane papiery.

— Stello, chodź tu bliżej, kochanko, ale nie płacz, dziecko, bo mnie to doprowadza do rozpaczki, a muszę myśleć rozsądnie. Chciałem napisać testament, ale po namyśle uważam to za rzecz zbyteczną; wasz mały mająteczek jest zabezpieczony, a tem, co po mnie zostanie, podzielicie się po śmierci, bo choćbym chciał, nie mogę go tobie jedynie zostawić. Nie przypuszczam, żebym tu miał umrzeć, ale gdyby to nastąpić miało, nie zostawiajcie mnie na obcej ziemi, pochowajcie mnie w Calow — matka wie, w którym miejscu, a na cmentarzu jej przecież zawadzać nie będę. Przy tych słowach wyjął mały, złoty medalion z bocznej kieszeni: Schowaj go dobrze, mówił dalej z westchnieniem; medalion ten przesłała mi matka przed odejściem na plac boju w pięćdziesiątym dziewiątym roku; poprosz ją w razie mojej śmierci w moim imieniu, żeby mi go własnoręcznie zawiesiła na szyi, nim zamkną wieko trumny. Czy będziesz o tem pamiętała?

Ona siedziała naprzeciw niego przy małym, okrągłym stolicku, wyprostowana, śmiertelnie blada, ale z suchymi oczyma:

— Tak jest, ojczel! — odparła cichutko.

Dzień następny był dniem jej urodzin; od ojca dostała złotą bransoletkę, do której, wyrznięta z górskiego kryształu, przytwierdzona była czterolistna koniczyna.

— Wyróżnić nie mogłem cię w testamencie — odezwał się — ale noś zawsze tę pamiątkę ode mnie i jeżeli

kiedyś dużo szczęścia przypadnie ci w udziale, to pomyśl sobie, że ci je twój biedny ojciec u Boga wyprosił.

Pewnego dnia pułkownik odebrał list z pocztowym stemplem z Paryża, który widocznie sprawił mu wiele przykrości, bo cały dzień chodził zamyślony, nie mówiąc ani słowa. Wieczorem pisał długo, przerywając sobie często suchym, ciężkim kaszlem i Stella zauważyła, że, składając zapisany papier, włożył zarazem i pieniądze w kopertę. Następnie zdawał namyślać się chwilę, wreszcie wyjął z szuflady ostatnią wenecką fotografią Stelli, popatrzał na nią z czułością i po dość długim wahaniu włożył ją wraz z listem i pieniędzmi do zaadresowanej koperty. W tej chwili wzrok jego spotkał ciekawe wejście córki: widocznie zmieszany zwrócił całą uwagę na pieczętowanie listu, przyciskając rozgrzany lak dużą herbową pieczęcią. Naraz, jakby idąc za jakimś nagłym popędem, wyciągnął obiedwie ręce do siedzącej na przeciwnej stronie stołu córki:

— Chcesz się dowiedzieć, komu przeznaczam fotografią mojej pieczętówki? List ten pisałem do najmłodszej swej siostry, a twojej ciotki, Eugenii. Czy przypominasz ją sobie jeszcze? Wszakże ją bardzo kochałaś, nieprawdaż?

— Bardzo, ojczulku, ale... ale myślałam, że dawno umarła.

Pułkownik szybko odwrócił głowę; po chwili przyciągnął Stellę bliżej do siebie:

— Nie umarła — szepnął cicho — ale nie mogę ci opowiedzieć historii jej życia, więc nigdy nie pytaj o nią; jeżeli kiedy ją spotkasz w życiu, nie osądź jej surowo, bądź dla niej dobrą... dla mojej pamięci!

Codziennie jeszcze kazał się spuszczać do sali jadalnej pierwszego piętra, ale dopiero po skończonem *table d'hôte* obiadował wraz z Stellą przy małym stolicku w obszernym, pustym prawie pokoju. Od jakiegoś czasu miewał przy jedzeniu silne napady kaszlu, które go mieszały niewypowiedzianie; obawiał się ciągle, aby tym sposobem towarzystwo jego przykrem i uciążliwym dla drugich nie było.

— Nie bardzo się mogę pokazywać w salonie, wszak prawda, pytał często Stellę, biedne moje dziecko, dla ciebie jest to żenującem mieć chorego ojca.

Ona naturalnie żywo przeczyła podobnemu zdaniu; nie pragnęła nic innego, jak móżd go pielęgnować, chociaż by jej opieka tyle znaczyć miała, co starania słabej, bezsilnej dziewczyny. Wesołem i uciążliwym rozweselała go całymi dniami; w nocy za najmniejszym poruszeniem stawała przy łóżku ojca w długim, białym penioarze, z pod którego wyglądały zgrabne, wąskie nóżki, podtrzymując drobnymi rączkami wątłą postać chorego, gwałtownym wstrząsaną kaszlem. Czasami, nie mogąc zważyć znużenia, zasypiała, siedząc przy łóżku ojca z głową, opartą na twardej poręczu.

Na dworze księżyc świecił nad kościołem *Santa Maria dello Sauto*; z pobliskich ogrodów płynęła woń róż i heliotropów, a jednostajny szmer fal, płynących u stóp starożytnych pałaców, mieszał się ze smętnymi dźwiękami pieśni gondolierów.

Bezsenne noce, spędzane przy łóżku coraz słabszego ojca, podkopały silną naturę Stelli, zmieniając ją do niepoznania. Pułkownik z początku nie chciał nawet słyszeć o tem, aby Stella dla niego swój nocny spoczynek poświęcać miała; groził jej przyjęciem dozorczyni szpitalnej, ale nigdy nie przyszło do tego. W rzeczy samej niewiele potrzebował jej opieki; w łóżku nie leżał prawie wcale, a dni całe spędzał na wygodnym szeslongu; ubierał się zawsze sam, nie chcąc swą osobą robić ambarasu, a w końcu wzywał pomocy hotelowego garsona.

Usposobienie jego znacznie więcej ucierpiało na długiej, męczącej chorobie; zrobił się biedak niespokojnym, nerwowym, czasami nawet zgryźliwym, tęsknił za swoimi

i za ojczyznę — tęsnotą umierającego wygnańca. W pamięci i przed oczyma miał obraz starego młyna z okalającym go staroświeckim ogrodem, mały laszek z cienkimi sosnami i karłowatymi dębami, słyszał szum rzeki, płynącej tuż pod oknami. Nagle uczuł niepohamowaną chęć zobaczenia tych stron raz jeszcze — długo nosił się skrycie z tą myślą, nie śmiejąc jej objawić; przecież raz odepchnięto chęć spotkania i pojednania się. Życzenie jego ograniczyło się jedynie na chęć zamknięcia oczu na rodzinnej ziemi, w domu, który mu tak szczęśliwą przypominał przeszłość; zresztą czegoż on jeszcze potrzebował może, stary, śmiertelnie chory człowiek, którego życzenia zaspokoić łatwo kilku przyjaznymi wyrazami, lub serdecznym uściskiem ręki? Tymczasem choroba z dniem każdym groźniejsze przybierała rozmiary; do słabego i tak stanu zdrowia przyłączył się katar żołądkowy, choroba, która u ludzi chorych na płuca przyspiesza niechybny koniec. Lekarz, stale odwiedzający pułkownika, nie chcąc mieć na sumieniu śmierci pacjenta, zalecił konieczną zmianę miejsca i powietrza. Nieśmiało, z ukrytą w wychudłych dłoniach twarzą pytał umierający biedak córkę, czyby nie napisała do matki, prosząc o zezwolenie na przyjazd jego do Calow.

Ale Stella już była uprzedziła to życzenie i w kilka dni później nadeszła odpowiedź. Baronowa pisała, że jak zawsze, tak i tym razem gotową jest, spełniając jedynie obowiązek, przyjąć i pielęgnować męża, więc stary młyn każdego czasu stoi dlań otworem.

Jakże się cieszył na powrót do domu! Chciał dla większego pospiechu sam zapakować rzeczy, ale siły stanowczo odmówiły posłuszeństwa. Leżąc na szeslongu, z zajęciem przyglądał się Stelli, biegającej między na wół upakowanymi kuframi. Od czasu do czasu wołał ją do siebie i ze słodkim uśmiechem patrzył w jej duże, ciemne oczy, gładząc spracowane rączki. Nareszcie byli gotowi do drogi.

Było to w drugiej połowie kwietnia, w pierwsze święto Wielkiejnocy, odgłos dzwonów dolatywał ze wszystkich kościołów, słońce złotymi promieniami oświecało Laguny.

Wszyscy znajomi odprowadzili ojca i córkę aż na taras hotelu, skąd wsiedli do czekającej na nich gondoli. Na pożegnanie obsypano Stellę kwiatami, a z balkonu hotelowego długo jeszcze powiewały białe chustki za odjeżdżającymi.

Z początku podróżowali w małych odstępach, wycierając często, robili dłuższą drogę, żeby znaleźć w hotelach wygodniejsze pomieszczenie, a w Grac bawili nawet czas dłuższy. Nagle opanowało pułkownika dziwne jakieś rozdrażnienie; spieszył się bardzo, nie chcąc już nigdzie zatrzymać się w drodze. Po dwudniowym wypoczynku w Grac postanowił już jednym dniem dojechać do domu, nie zważając, że w drodze kilka razy przesiąść się trzeba było. Na szczęście służba kolejowa chętnie choremu biedakowi spieszyła z pomocą, jako i ślicznej, wzruszająco-troskliwej o ojca córce, a było to koniecznym, bo pułkownik z każdą godziną był silniej cierpiącym, więcej osłabionym. Na stacyi, na której ostatni raz przesiąść się mieli, nie mógł już o własnej sile opuścić wagonu; dwóch ludzi wzięło go za ręce i przeniosło do innego przedziału.

Jechali małym *coupe* pierwszej klasy, o trzech tylko siedzeniach; pomimo usilnych starań nie mogła Stella, jak dotąd, uprosić ze względu na ojca większego, pustego przedziału.

Znaną jest łudzająca wygoda tych małych, na pasach, przedłużanych foteli, na których Stella za pomocą poduszek i pledów, jakie takie ojcu urządziła poślanie. Cienie wieczorne ukazywały się na ziemi, a pułkownik zmęczony jazdą spał smacznie. Na niebie bez chmurki świecił za ledwie widoczny sierp księżycy, wiosenne, ciepłe powietrze wpływało otwartymi oknami wagonu, mieszając się z wonią kwieciami okrytych drzew owocowych. Lekki wietrzyk unosił się nad zieleniącymi łąkami, muskając wody spo-

kojnych, obszernych stawów, około których pociąg przejeżdżał właśnie. Gdzieniedzie, w pomroce wieczornej czerniały wsi całe, lub pojedyncze domy, rysowały się niewyraźne kontury wież kościelnych, lub białe mury pałaców.

Stella, siedząc zamyślona, spostrzegła nagle, że złotej bransoletki z czterolistną koniczyną, mającą przynieść jej szczęście, nie miała na ręku. Przerazona tym wypadkiem, mimowolnym ruchem zbudziła śpiącego ojca.

— Gdzie jesteście? zapytał.

— Jeszcze tylko trzy stacje, za godzinę będziemy w domu, uspokajała go z bijącym niespokojnie sercem.

Schylił głowę z rezygnacją, złożył ręce i starał się leżeć spokojnie.

Ale nie mógł już dłużej — nagle zrobiło mu się niedobrze.

— Nie wiem, co to ma znaczyć, ale nigdy przedtem podobnych cierpień nie miałem, zawołał, rozglądając się z rozpaczą w ciasnym przedziale, jak zwierz więziony w klatce. Nastąpił krótki, kurczowy atak kaszlu, w czasie którego nerwowo chwycił aksamitne poręcze fotelu, napróżno chcąc się ułożyć dogodniej.

— Oprzyj głowę na moich kolanach, ojczu, może będzie ci lepiej, prosiła Stella ze ściśnionym sercem.

Położył głowę na łonie córki, przyciskając jej ręce do spieczonych ust. Nerwowy niepokój, który go tak męczył, ustąpił teraz miejsca dziwnie rozkosznej, niby nieświadomej niczego ociążłości. W duszy jego po raz ostatni ukazał się obraz owego pijaka i zatarł na zawsze. Zdawało mu się, że to on sam brodzi w zarosłem jakimś bagnie, nie mogąc znaleźć wyjścia; naraz mała jakaś rączka uchwyciła dłoń jego i wyprowadziła na wązką, suchą deskę, położoną nad głęboką, ciemno-zieloną otchłanią. Wybawicielką była własna jego córeczka, w białym, wiązonym czepeczku i nocnej koszulce...

Nagle deska załamała się pod nimi... pułkownik otworzył oczy i spojrzął dokoła niespokojnie:

— Czy jesteśmy w domu? zapytał ledwo dosłyszalnym głosem.

— Niezadługo, ojczulku, była odpowiedź; chory przycisnął silniej drżące jej rączki.

Zciemniało się coraz bardziej, niebo zakryte gęstym dymem lokomotywy, wyglądało, jakby owiane żałobną zasłoną, zza której sierp księżycy widniał coraz jaśniej, a pociąg pędził ciągle z szaloną szybkością, rzucając się niespokojnie na szynach.

Naraz zauważyła Stella, że chory wstrząsnął się cały, potem wydał lekki okrzyk, jak gdyby ujrzał coś pięknego, lub jakby mu jaki ciężar spadł z serca, potem już leżał cichutko, prawdopodobnie zasnął głęboko. Wiedzioma smutnem jakimś przecuciem, pochyliła się nad nim, napróżno słuchając bicia serca, a ręka, którą trzymała, ziębla i sztywniała coraz bardziej w jej ręce. Ciemność, panująca dokoła, przerażała ją, obawiała się tej nieruchomej postaci, spoczywającej na jej łonie. W tej samej chwili zapalono lampę, której żółte światło padło na twarz pułkownika.

Byłżeby to sen — czy też... Z bijącym sercem nadśluchiwała oddechu, wreszcie, nie mogąc opanować zwiększającej się obawy, zawołała głośno:

— Ojczu, ojczu drogi! Ale nie było odpowiedzi.

Nocne śmy, dostawszy się otwartymi oknami do przedziału, okrążyły lampę, powietrze było przesycone wonią kwitnących czereśni i czeremchy, z dala dolatywał odgłos małego, wiejskiego dzwoneczka, zwojującego na „Aniolpański.“

Stella półgłosem odmawiała modlitwy, przerywane co chwila gwałtownem łkaniem, drżącą ręką gładząc zimne oblicze i rzadkie, siwe włosy zmarłego. Wiedziała, że już tylko kilka minut ten zmarły ojciec będzie wyłączną jej własnością; że potem jej go odbiorą, a z nim razem i to, co najdroższego miała na świecie. — Resztkami sił pędziła kolej, zbliżając się do celu z szaloną szybkością; ognisty

słup iskier przeleciał około okien, nastąpiło przeraźliwe gwizdnięcie i gwałtowne wstrząśnienie, pociąg stanął na peronie małego dworca w Calow. —

Matka i córka oczekiwały przybywających na stacy. Konduktor pospiesznie otworzył drzwiczki — na czerwonej kanapce siedziała nieruchomie Stella, trzymając na kolanach głowę zmarłego.

W milczeniu, śmiertelnie blada, szła żona pułkownika wraz z Stellą przy martwym ciele męża do opodal od dworca oddalonego młyna. Wskutek niezręczności tragarzy ramię zmarłego zesunęło się z piersi i ręka jego dotykała ziemi. Nerwowym ruchem baronowa pochwyciła tę zimną, martwą rękę, przycisnęła do ust, następnie przez resztę drogi ścisnęła w zaciśniętych swych dłoniach. — Ciało złożono w świeżo posłanym łóżku, które dla chorego było przysposobione w wielkim, narożnym, ulubionym pułkownika pokoju, gdzie baronowa na cześć przybycia męża własnoręcznie duży bukiet białego bzu na stoliku przy łóżku umieściła. —

Dwie świece paliły się u wezglowia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ANIÓŁ WSPOMNIENIA

Jest anioł wśród świata przestrzeni,
Co z niebios błękitów przyflywa,
Na harfie o strunach z promieni
Melodye przeszłości wygrywa.

Słodyczą on koi te rany,
Co słowa niebaczne zadały,
Z litością rozkuwa kajdany,
Co wolność, swobodę skowały.

Gdy chwile w boleści nam płyną,
Wiecznością się zdaje to życie,
W tęsknocie za szczęścia krainą
Ów anioł pociesza nas skrycie.

„Wspomnienie“ jest miano anioła!
On lży twe serdeczne osusza,
Myśl tęskną przenosi do siola,
Gdzie błogo dumiała twa dusza.

Choć trudy i prace codzienne
Udręczą myśl twoją biedną,
Choć losy nękają cię zmienne
I gwiazdy nadziei choć zbledną;

Wspomnienie tych chwil kilku jasnych,
Gdy dusza twa w szczęście wierzyła,
To promień wśród światła zagastych,
Nim serce uciszy... mogiła.

H. Ś.

KORRESPONDENCYA „DOMU POLSKIEGO.“

Poznań, dnia 18 kwietnia.

„Burzy się, wzdyma, pękają tonie.
O! niesłychane zjawiska...“

W rzeczy samej przedstawiała Warta i wszystkie jej dopływy tego roku zjawisko niesłychane i od dawna niewidziane. W postaci zimnej i groźnej powodzi wystąpiła na ład ukryta zwykle w modrych nurtach rzeki Rusałka i okazała się zgonną dla całych okolic.

„Woda się burzy i wzdyma“ — to słowo przez kilkanaście dni obiegało po wielkopolskiej ziemi i budziło wszędzie przestrasz i obawę. Niestety! jeszcze do tej chwili stoimy pod grozą tegoż słowa, choć jest nadzieja, że powódz w byłych rozmiarach już nie wróci.

Gród Mieczysława i Bolesława więcej od innych miast wielkopolskich narażony jest na niebezpieczeństwo powodzi dla tego, że większa część miasta położona jest tuż nad Wartą i Cybiną. Zakładać miasta pomiędzy moczarami, jeziorami i rzekami nakazywała ojcom naszym przeczorność, ponieważ właśnie tam były one najwięcej zabezpieczone przed nieprzyjaciołmi. Dawniej też chyba nie lękano się tyle powodzi, jak dzisiaj, a przynajmniej umiano z nią walczyć i stawiać jej opór. Dzisiaj to, co dla ojców naszych było obroną, okazało się dla nas niebezpieczeństwem, a jak np. tego roku powódz nas zastała zupełnie nieprzysposobionymi i bezradnymi.

Z początku, kiedy modra fala tylko o kilka kroków wystąpiła z brzegu, nikt nie przypuszczał, że jest zwiastunką wylewu, który na wiele lat pozostanie w pamięci wielkopolskiej ludności. Tymczasem obojętność wnet się zamieniła w smutek, kiedy z każdą chwilą woda rosła, a wreszcie wystąpiwszy z brzegów zapragnęła niejako poszukać sobie nowego koryta.

Nie tu miejsce opisywać szczegółowo przebieg tego-rocznej powodzi, w czem zresztą wyręczyły nas pisma codzienne. Zaznaczyć jednakowoż należy, że ze strony obywatelstwa naszego, a za inicjatywą pism polskich utworzył się w mieście naszym komitet ratunkowy dla powodzi, którego czynność, jak nie mniej poparcie, jakiego doznał ze strony ogółu, zasługują na to, ażeby złotem literami zapisane zostały w rocznikach naszego miasta. Kiedy dla ulżenia twardej doli powodzi, jeszcze mało co uczyniono ze strony rządu, polski komitet ratunkowy już niósł powodzią dotkniętym pomoc, bez której wielka część naszych współobywateli obyćby się była musiała bez żywności, a często nawet odzieży. Nie mniejsza podzięka należy się paniom św. Wincentego à Paulo, siostrom miłosierdzia, tutajszym lekarzom, którzy bezinteresownie ofiarowali swe usługi powodziom, jak w ogóle wszystkim filantropom, którzy pamiętali na słowa apostoła, że całą treścią praw Boga jest dawanie dowodów miłości względem bliźniego.

Tej zasady wszystkich filantropów trzymała się też prawdopodobnie cesarzowa niemiecka Wiktorya, kiedy z wszystkich miast monarchii pruskiej pierwszy Poznań zaszczyliła swą obecnością. Niestety! wzięły jej też odwiedziny tak zwane narodowe stronnictwa niemieckie za złe, a nie umiając innym sposobem zadokumentować swej podej nienawiści, zwróciły się przeciwko paniom polskim, z którymi cesarzowa podczas pobytu swego w mieście naszym rozmawiała i zarzuciły cesarzowej, jak naszym paniom, że rozmowa toczyła się w języku francuzkim. Organ, w hierarchii dziennikarstwa niemieckiego pierwszorzędnym zajmujący miejsce, posunął się nawet do czelnego zdania, że „Prusaczkom nie wolno inaczej rozmawiać, jak po niemiecku.“

My w Poznaniu przyjęliśmy takie dąsanie się szowinistów nam obcych, a nawet do pewnego stopnia obojętnych

pustym śmiechem. Wiadomo nam bowiem, że właśnie w kołach, które z podobnemi zarzutami wystąpiły, najmilszą lekturą są francuzkie romanse skandaliczne, a co najważniejsza, monarchowie pruscy zawsze osobiście umieli uznać, co się godzi, tak, że w kołach gadzinowych swych ochmistrzów szukać nie mieli potrzeby. Tak np. donosi dzisiaj niemieckie pismo póurzędowe, „Deutsche Tageblatt“, że zmarły cesarz Wilhelm, a zarazem cesarzowa Augusta z rodziną książąt Radziwiłłów zawsze rozmawiali po francuzku.

Smutnem jest zaiste, że cesarzowa Wiktorya, podejmując podróż w czysto filantropijnym celu, doczekała się zaczepki takiej ze stron, które zawsze zasłaniały się panterem wierności dla swych monarchów. Nas Polaków samych wycieczka ta nie dziwi, szczególnie, że już w dzień po odwiedzinach cesarzowej głośno tu wyrażano gniew z powodu konwersacyi w języku francuzkim, a nawet małżonki wysokich urzędników z miną franta się pytały: „Czyż my to jesteśmy w francuzkim kraju?“ Dla nas całe wystąpienie prasy szwinistyczno-niemieckiej było tylko dowodem, że w rzeczonych kołach nam Polakom, jako Polakom, nie jednej tylko życzą powodzi, ale kilka na raz, że chętnieby nas utopiono nawet w łyżce wody. Zawziętość przeciwko nam w tych kołach nigdy nie ustaje, lecz wiecznie „burzy się, wzdyma i wre aż do dna, pochwyca kręconym nurtem i roztwiera paszczę nienasyconą.“

Oprócz powodzi i odwiedzin niemieckiej cesarzowej nie prawie w mieście naszym ostatnimi dniami nie zaszło, coby budziło szerszą ciekawość, a przynajmniej było nowością. O teatrze naszym tyle tylko nowego (choć to się co rok powtarza), że towarzystwo nasze dramatyczne bez wielkich zasobów materyalnych a z niewielkiemi nawet nadziejami wyjeżdża na prowincyą, by tam przez lato słuchać wesołym i smutnym muzom. Według zwyczaju dawało towarzystwo w ostatnim tygodniu przedstawienia pożegnalne. Grano sztuki doborowe i grano dobrze, lecz, co bardzo smutne, grano wobec prawie pustej sali teatralnej. Tym razem nie wiodło się u nas artystom. Po dniach żałoby krajowej, gdzie zakazano widowisk publicznych, nastąpiła powódź, która znaczną część publiczności od uczęszczania do teatru powstrzymała. Nadto zalała przez kilka dni powódź zakłady gazowe, tak, że żadnych przedstawień nie można było dawać, a wreszcie wpłynęły ostatnie zajścia polityczne w Niemczech nie ze wszystkim dodatnio na odwiedzanie teatru. Dodajmy do tego znaczną porcyą własnej obojętności, a pojmujemy, czemu dziś artyści nasi biadają na głos.

Czy prowincya wszystko, czego tego roku doznało nasze towarzystwo dramatyczne, wynagrodzi? Żywimy tę nadzieję, bo kiedy ciepła pora wraca niwom i łąkom wdzięki, ozdoby i krasę, kiedy z wiosną w każdym sercu do życia się budzą dawne nadzieje, to czemuż sami nasi artyści dramatyczni smutnem mają okiem patrzeć w przyszłość? Oni do nadziei mają tak samo prawo, jak cały ogół wszechświata, a obowiązkiem jest publiczności tej nadziei nie zawodzić.

Żagota.

Wygnańcy.

Obrazek sceniczny.

OSOBY:

Rutowski.
Zofia, jego córka.
Grochowska, jej ciotka.

Tymowski.
Czesław Winnicki.

Scena przedstawia skromny pokój; w środku drzwi wchodowe, na prawo i lewo drzwi boozne. Po lewej stronie stolik okryty, na nim gazeta. Przy stoliku kanapa i dwa fotele. Po prawej stronie okno, przed którym biurko z papierami i dwa krzesła. Na biurku fotografia żony Rutowskiego. Po lewej stronie drzwi głównych fortepian, na nim dwa wazony z kwiatami, po prawej stronie krzesło.

SCENA I.

RUTOWSKI. — ZOFIA.

Rutowski około lat 50, szczupły, wąs i broda posiwiła, czoło wysokie, wejrzenie szlachetne, ubior czarny. Siedzi na fotelu, u stóp jego klęczy Zofia ze spuszczoną głową.

RUTOWSKI.

Już za dni kilka opuścimy te strony, ażeby ich już nigdy nie zobaczyć... Och! jakąż ta myśl boleścią przeżywa całą moją istotę... Tu, w tem miłym ustroniu, ileż przepędziliśmy chwil wesołych i spokojnych... Tu poznałem swoją ukochaną żonę, matkę twoją, nie przeczuwając, że po tylu latach osamotnienia zmuszonym będę opuścić jej zimną mogiłę...

ZOFIA.

Lat 20, twarz blada, ubior czarny, skromny, spojrzenie i ruchy szlachetne.

(Przerywając i podnosząc nieco głowę.)

Och! nie mów tak, ojciec...

RUTOWSKI.

Jak ona ciebie kochała, pieszczotko moja, tyś była jej dumą, nadzieją i szczęściem całym na ziemi. W ostatniej jeszcze godzinie, ze łzą w oku błogosławiąc cię, wyszeptwała te słowa: „Kazimirzu, miej opiekę nad Zosią.“ *(Zofia płacze w nadmiarze wzruszenia i boleści.)* Szesnaście już lat od tego ubiegłego czasu, tyś pięknie wyrosła i stałaś się moją jedyną pociechą w chwilach smutku i cierpienia. *(Ciągnie ją w czoło.)* Wstań, Zofio, lament nic nie pomoże, fatalnego nakazu żadną miarą cofnąć nie można. *(Zofia wstaje, Rutowski trzyma jej rękę.)* Tylko odwagi, odwagi, moje dziecko! Świat długi i szeroki — da Bóg — i my jeszcze znajdziemy zakątek, gdzie spokojnie, jak tu pracując, nikomu zawadzać nie będziemy... Żal mi tylko Czesława, *(Zofia spuszcza oczy)* bo, chociaż ci o tem dotychczas nic nie mówiłem, obecnie wyznać muszę, że prosił o twoją rękę... Nie wiedząc jeszcze o nakazie wydalenia nas i będąc przekonany o jego szlachetnych zamiarach, a dbając zarazem o zabezpieczenie twego przyszłego losu, przyrzekłem mu... Wiedziałem, dziecko drogie, że i ty jesteś jemu przychylną.

ZOFIA.

(Spokojnie, ale z goryczą.)

Ojciec! z chwilą wygnania wszelka przychylność ustaje...

RUTOWSKI.

(Tuląc córkę w objęciach.)

Tak, dziecko moje, Bóg losem twoim inaczej rozporządził i już za młodu dał ci zaznać gorzkiego chleba wygnania. Lecz nie rozpaczaj! *(ciągnie ją w czoło.)* Cokolwiek się z nami stanie, jakkolwiek los przyszłość nam zgotuje, wszystko przyjmijmy bez szemrania... Tu nie nasza wieczna ojczyzna! na ziemi tylko łyzy płyną, smutek czoło chmurzy, boleść i zawody serce rozdierają!... tam *(wskazuje ręką w górę)* dopiero wszystkie cierpienia ustają... Nie rozpaczaj! *(ciągnie ją)* niechaj się dzieje wola Boża...

SCENA II.

GROCHOWSKA, ZOFIA i RUTOWSKI.

GROCHOWSKA.

Lat 50, szczupła, skromnie, poważnie ubrana, włosy posiwiałe.
(*Wchodzi wolnym krokiem bocznymi drzwiami z lewej strony.*)

Znowu widzę was zrozpaczonych i smutnych. (*Rutowski puszcza zwolna Zofię, dłoń opiera o biorko. Zofia stoi w niemem zamyśleniu.*) Och! i ja, chociaż los ten oświadczył mi nie dotyka, prawie wyplakałam oczy ze smutku i bólu... Was miałabym opuścić, o! Boże, i pozostać tu samą bez nadziei zobaczenia się — chyba na drugim świecie! Nie! to być nie może! Ja z wami na ostatni kraniec świata podążę, byle tylko być z wami i widzieć was szczęśliwymi. (*Spokojniej, z żalem.*) Prawda, zapomniałam, że będę wam ciężarem. Wy sami wygnani, biedni, mielibyście mieć jeszcze troskę o mnie? (*Rutowski z zasępionem czołem zwraca się ku Grochowskiej.*) Ale czyż wreszcie nie zasłużyłam sobie na wspólną z wami dolę i niedolę? Zofio! ty, coś nie zaznała w całej pełni pieśczęci matki, ty byłaś moją jedyną troską na świecie, ty wiesz, że dla ciebie gotowa byłam wszystko poświęcić... (*Zofia rozrzucona patrzy na ciotkę.*) Cztery lata zaledwie miałaś, kiedy matka cię odumarała... Wtedy otoczyłam cię najtroskliwszą opieką i całym uczuciem serca przywiązałam się do ciebie... Och! wtenczas, czy pamiętasz, jakie miano mi dawałaś, jakie z twych niewinnych usteczek płynęło słowo? Nazywałaś mnie „matką!”

ZOFIA.

(*rzuca się w jej objęcia i mówi głośno, z gorączką:*)

Och! tak... matką!... (*placze, chwila milczenia.*) Jakże błogo, mieć choć tylko wspomnienie matki!... (*po chwili stanowczo:*) Nie! ja bez ciebie stąd się nie ruszę, ty musisz iść z nami... będziemy pracowali wspólnie... razem... (*Placzą obie.*)

RUTOWSKI.

Córko moja!... (*zakrywa sobie twarz rękoma.*)

GROCHOWSKA.

(*Catując Zofię w czoło.*)

Och! tak, razem pracować będziemy chociaż na obcej ziemi... (*chwila milczenia.*) Ty umiesz rozmaite robótki, ja znam krawiecczynę i ojciec może jakie zatrudnienie znajdzie, a nie zginiemy i może jeszcze jaśniejsze zabłysną nam chwile — Bóg sprawiedliwy i miłosierny, ufajmy Jego pomocy. Może zdołamy jeszcze zapamiętać o okropnych przejściach obecnych... (*ociera łzy.*)

RUTOWSKI (*z gorączką.*)

Zapamięć... och! nigdy...

GROCHOWSKA.

Nie płacz, dziecko moje, nie wylewaj łez nadaremnie. Przed tobą długa jeszcze droga życia, otwarta, może na niej nieraz łzy popłyną ale i kwiaty zakwitną... Życie ludzkie cierniem, lecz niekiedy i różami przeplatane — tylko, niestety! więcej zawsze cierni i kolcy, co ranią boleśnie, aniżeli dni wesołych i spokojnych... Czy tylko twój Czesław nie zapomni o tobie, pomimo, że prosił o twoją rękę...

RUTOWSKI (*z rezygnacją.*)

Z pewnością zapomni.

GROCHOWSKA.

I ja tak sądzę... Młodzież dzisiejsza nieskora do poświęceń... zwłaszcza, gdy chodzi o wybór żony, która prócz cnoty żadnego nie posiada majątku. Skromność,

niewinność i inne cnoty domowe, wykształcenie i wychowanie nie mają dziś żadnego powabu, sam pieniądz znaczący dzisiaj wszystko, partya, im bogatsza, tem lepsza, pożądana... Mówię tu w ogóle o młodzieży, gdyż nie wiem, jakie są rzeczywiste zamiary Czesława...

RUTOWSKI.

O ile ja wiem, zamiary jego są szczerze... Zresztą, nikt go przymuszać nie będzie... Dla nas dziś jedna pozostała droga: wygnanie — może i nędza...

GROCHOWSKA.

Szczerze zamiary... miły Boże! Dzisiaj o szczyrych zamiarach ani pomyśleć nie można... Każdy woli iść tam, gdzie mu przyszłość w złotych uśmiechach blaskach, gdzie będzie mógł używać i marnotrawić. Zofia żadnego nie posiada majątku, czy więc zamiary Czesława są szczerze, ktoż zdoła odgadnąć... a kto wie, czy nie stała się tylko igraszką jego szaleństwa i chwilowego uniesienia... (*Zofia zakrywa sobie twarz rękami i płacze.*) Pójdź, Zofio! Czuję się dzisiaj słabą i cierpiącą, kto wie, czy się na dobre nie rozchoruję... I tobie spokoju i wypoczynku potrzeba; zbolełe serce twoje długo nie zniosłoby całego ciężaru bólu i smutku... Pójdź, (*catuje ją w czoło*) wypocznij u mnie, ażebyś wszelkie przeciwności losu mężnie przetrwać mogła. Życie jest bezustanną walką aż do śmierci!... (*Grochowska i Zofia wychodzą zwolna lewą stroną.*)

SCENA III.

RUTOWSKI — sam.

(*Zaciskając ręce:*) Ha! piekło! Trzebaby być chyba z kamienia, ażeby nie czuć całego ogromu bólu i cierpienia... I gdzież się teraz obrócę? gdzież znajdę bezpieczne i spokojne schronienie na stare lata? Świat dzisiaj zimny i nieczuły z obłudą i sztywnością odępniasz nad siebie. Nie ma litości i miłosierdzia na ziemi!... Gdybym był samotny, gdybym nie potrzebował troskać się o nikogo, los mój byłby może znośniejszym... uleciałbym, jak ptak wędrowny, chociażby za morze, szukać przytułku i pracy u obcych. Ale mam ukochaną córkę, a niepewność o los jej gorączką napełnia serce moje... I w którą stronę udam się z nią? Czyż podoła ona porównie ze mną znieść wszelką niedolę i niewygody tułactwa? (*zakrywa sobie twarz rękoma.*) O! Boże — wyrok tak nagły, tak niespodziany!... Wczoraj jeszcze myślałem, że będę ją widział szczęśliwą i spokojnie przy niej złożę głowę na stare lata, a dziś czarna, złowroga chmura w jednej chwili zaciemniła wszystkie moje nadzieje i omyliła rachuby... Zostaliśmy wygnani!... Na wspomnienie tego wyrazu niewypowiedziany ból serce mi ścisną... Być wygnanym z ojczyzny bez nadziei powrotu, być zmuszonym w jednej chwili opuścić wszystko, co sercu było drogie, co z duszą się zrosło... rodzinę, znajomych i przyjaciół, opuścić mogiłę żony na zawsze i zostać tułaczem na szerokim świecie, to boleść, której nikt pojąć, ani żadne pióro opisać nie jest zdolne... I jakaż moja zbrodnia? com popełnił, iż wydano na nas dekret banicyjny? (*Z ironią:*) Tu się nie urodziłem... ha, ha, ha... Boże!... jakaż to straszna zbrodnia, za nią mnie i córkę skazano na wygnanie... (*Tymowski wchodzi środkowymi drzwiami i niepostrzeżony od Rutowskiego ze współczuciem przystuchuje się jego mowie.*) Zbrodnia ta mnie przynajmniej nie hańbi... śmiało ją wyznam każdemu, — niechaj cały świat dowie się o niej...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

O WŁOSACH.

Przez Zofią A.

(Dokończenie.)

Zabierając się więc do czesania, baczyć przede wszystkim trzeba na skład głowy i twarzy osoby; kobieta piękna w całym znaczeniu wyrazu może na rozmaite wybryki mody zezwolić; wszystkie śmieszności i ekstrawagancje nie są w stanie jej oszpecić — ale też nie każda z tej swobody korzystać może, nie każda jest tak proporcjonalnie ukształtowaną, najczęściej bywają takie właściwości, które uwydatnić, lub ukryć należy. Ileż to rozmaitych odmian napotykać się daje w budowie głowy, jedne zbyt długie, drugie szerokie, u jednych czoło niskie, u drugich bardzo wysokie — twarze z krótkim, grubym, lub cienkim, za długim nosem; tu zadarty nos, tak zwany *nez de soubrette* — tam arystokratyczno-piękne rysy. Wszystko to estetyczny zmysł kobiety rozpozna łatwo, sztuką więc powinna te błędy zmniejszyć, lub zatrzeć. Gdy niskie czoło n. p. zakryje się grzywką, lub loczkami, ileż się twarzy odbierze wyrazu, zasępi się oko i przyćmi, a przeciż moda nie jest tyranką — wszędzie daje jakiś punkt wyjścia — trzeba tylko umieć w tę średnicę utrafić, która osoby nie oszpeci, a i modzie wojny nie wypowie.

Oprócz budowy fizycznej trzeba też i na charakter twarzy uważać, fryzyer wielkomięjski najprzód na to oczy zwróci. Są dwa ogólne rodzaje — można powiedzieć — twarzyczek: „arystokratyczne“ o długim, prostym profilu, gdzie linia czoła, nosa i ust jak najmniej wybuchów robi, — i „subretkowe“ z mniej, lub więcej zadartemi noskami. Każda twarz, czy ona piękna, czy brzydka, do jednego z tych dwóch rodzajów musi należeć; dwa te charaktery mają też dwa czesania, zastosowane dla siebie, które z każdym wybrykiem mody zgodzić się muszą, t. j. fryzura lekka, fantastyczna i fryzura poważna, pełna prostoty — grecka.

Bez wątpienia twarzyczka młoda, uderzająca tylko świeżością, a bez regularnych rysów, z wyrazem żywym, śmiejącym, wymaga owej fryzury lekkiej, pełnej fantazyi i kokieteryi, złożonej z loczków, zakrętów i tego dzikiego nieładu, z pod którego mrugują oczki figlarne, zdradliwe nieraz, a zarazem łagodne, jak oczy gazeli.

Twarzom o profilu klasycznym, o rysach regularnych wszelka fantazyja nie odpowiada; tu włosy muszą być ułożone systematycznie, skromnie, porządnie — najodpowiedniejsza dla nich jest fryzura grecka: włos rozdzielony na środku, lekko falujący nad czołem, zaczesany ponad uszami ku tyłowi i tam zakręcony w węzeł bogaty, niewystępujący wszakże ponad wysokość czaszki. Tym sposobem w dawnych czasach układały włosy Spartanki, odsłaniając linią prześliczną, prostą przez długość twarzy. Regularnym rysom odpowiada uczesanie głowy Rzymianek; patrząc dzisiaj na ich marmurowe biusty, przyznać musimy, że rzadko która z nich piękna, ale wszystkie mają ten wyraz imponujący, cesarski. Tylko osobom o rysach prostych w tym rodzaju czesania głowy może być do twarzy, a każdy, kto ma jakikolwiek zmysł estetyczny, różnicę tych dwóch charakterów dostrzeże.

Poświęciłam słów tyle włosom, nikt przeciż, sądzę, tego mi za złe nie pocztyta; dbałość o swą powierzchowność jest tak ściśle z naturą kobiety złączona i każde słówko dobrej rady z wdzięcznością przyjmowane tak wielką... że zachęcić mogą najnieudolniejsze pióro do podzielenia się każdym najmniejszym spostrzeżeniem. Jakżeby w owym wieku XIX, stojącym na najwyższym szczelbu pomysłowości i wynalazków, gdzie — zdaje się — cyrklem, linią i mikroskopem zbadano wszystko w przestworach, miałyby jedynie główki niewieście zostawiać na uboczu!... Nie, po-

kreślmy i my na nich linie i kąty, niech proporcya matematyczna i tu ma swe zastosowanie!

I stroją też swe główki wszystkie kobiety bez wyjątku w każdym stanie, podług mienia i stosunków — każda inaczej, ale wszystkie w jednym celu: od bogatej miłady z nad Tamizy w grzebieniach brylantowych, od napuszonej bankierowej w dyademie rzadkich gemm i kamei, ręką samego Schlieman'a wydobytych, do tej leżącej na wybrzeżu morskiem z czarnemi oczyma włoskiej Marielli!... nóżyny jej bose, suknia podarta, ale we włosach zatknięty kwiat granatu, szkarłatny, jak usta jej namiętne; do tej wreszcie naszej polskiej Zosi z czarną kosą:

„Ze stokrotką u skroni,
Z główką wspartą na dłoni,“

jak śpiewamy w „Zaklętym grajku“ Moniuszki.

A na zakończenie wspomnijmy i naszą pocziwą babunię, skrecającą z uśmiechem loczki na główce wnuczki-Cheruba. I ona niegdyś była młoda i ona lubiła się podobać i dziś chętnie przygląda siwe włoski, wysuwające się z pod białego czepeczka. Jakaż to księga dla nas otwarta!... ileżby nam powiedzieć, ile przestrog i rad udzielić mogły te siwe włoski!... bo każdy z nich to jedna nitka z tej szarej, długiej przędzy, co się życiem zowie!



Jak żywić niemowlęta i dzieci,

napisał

Dr. Józef Koszutski.

(Ciąg dalszy. — Zob. Nr. 11.)

Porównując dalej oba te rodzaje mleka ze sobą, zaznaczyć nam wypada, że mleko niewieście zawsze alkalicznie oddziaływa, podczas gdy mleko krów, zwłaszcza w stajniach paszonych, natychmiast po wydojeniu, albo też krótko po temże kwaśno oddziaływać poczyna, co przy karmieniu niemowląt wielkiej jest wagi.

Dalszą, ścisłą i umysły lekarzy od lat wielu zajmującą różnicę w obu tych rodzajach mleka stanowi sernik czyli t. zw. twarog. On to w mleku krowiem zupełnie inny ma skład i atomów swych ułożenie. Daje się także daleko łatwiej strącać z swego zawieszenia przez różne substancje, a twarog taki osiada się w znacznie większych, ściślej trzymających się i więcej zbitych kawałkach, co przy trawieniu go ważną bardzo odgrywa rolę.

Mleko matki, nieposiadające ani owego nadmiaru tłuszczu, który zwłaszcza w pierwszych miesiącach życia niemowlęcia nie może sprzyjać trawieniu, nie zcina się w żołądku jego w tak ściśle zbitych kawałkach, jak mleko krowie, pozwoili też sokom żołądkowym łatwiej wnikać w siebie. Pokarmy, w zbitej postaci do żołądka wprowadzone, ulegają trudniej wpływowi soków żołądkowych, niż te, które w luźnym tylko ze sobą pozostają połączeniu.

Wszelkie zabiegi zupełnego zrównania obu tych rodzajai mleka co do ich jakości (qualitaet) nie powiodły się dotychczas. Nie pozostaje nam tedy inna droga, jak ta, iż, podając niemowlęciu mleko krowie zamiast pokarmu matki, odpowiednio do ostatniego je rozrzedzimy i w niedostające mu składniki zaopatrzmy. Nie powinno ono zawierać więcej nad 1% sernika, jeśli je niemowlęciu na pokarm w pierwszych dniach jego życia przyrządzamy. Jeśli mleko krowie, jak wyżej wykazano, 4,4% sernika zawiera, to trzeba takowe tu trzema częściami płynu dodat-

kowego rozrzedzić. I płyn ten ma posiadać własności, trawieniu dopomagające. Ma nie dozwalać twarogowi krowiego mleka zsiadać się w owych ściśle zbitych kawałkach. Ługowce (alkalia) i kwasy nie są w stanie z zadania takiego się wywiązać.

W czasach ostatnich zgodzono się, gdy chodziło o wybór najstosowniejszego i najwięcej to zbyt gęste zsiadanie się twarogu w mleku krowim powstrzymujące go płynu, na kleiki z kaszy owsianej, lub jęczmiennej. Podniesiono i to nawet, aby ziarnkom owsa i jęczmienia pozostawić łupinki, bo one w sobie znaczną ilość białka zawierają. Biedert radzi, aby z owsa, lub jęczmienia, na młynku od kawy zmielonego, brać po 2 łyżki stołowe na litr wody, gotować przez pół godziny w garnku przykrytym, przeceścić przez gęste sitko, a uzyskany w ten sposób kleik jeszcze aż do objętości jednego litra gotującą się wodą dopełnić i w tej postaci do mleka krowiego dolewać.

Rozrzedzanie mleka tego dla nowonarodzonych czystą, źródlaną wodą, jak to w tyłu poradnikach dla matek napotyamy, niewywiązujące się z owego ważnego zadania, dotyczącego zawieszenia sernika, zaniechać zupełnie powinniśmy.

Od dwudziestu kilka lat polecam owo dodawanie kleiku do mleka u dzieci sztucznie żywionych i to ku zupełnemu swemu zadowoleniu. Szczególną uwagę zaś zawsze zwracałem matkom na to, aby płyn ten, mleko krowie rozrzedzający i strawność jego podnoszący, mniej od tegoż był gęstym, nie uległ kiśnieniu, i aby w odpowiedniej zawsze tylko do wieku niemowlęcia ilości był dolewany. Ciepłota tej mieszaniny wynosiła i nadal wynosić powinna 28° Réaumur. Przez pierwsze cztery tygodnie dodawało się dla nowonarodzonego do jednej części mleka krowiego, niezbieranego, przegotowanego dwie części kleiku rzadkiego, ciepłego, a do filiżanki tak przyrządzonego pokarmu wsypywano pełną łyżeczkę od kawy cukru mlecznego i trochę soli kuchennej. Rozrzedzanie to mleka odbywało się za każdym razem świeżo, i co ważne, nie mógł napój ten po dłuższym staniu i wystudzeniu na nowo, wspólnie z dodatkami, być ogrzewany.

W drugim i trzecim miesiącu życia niemowlęcia zdrowego i dobrze się rozwijającego dolewano już równe części kleiku do mleka krowiego, a cukier mleczny zwykłym, trzcinowym zastąpić było wolno.

Od czwartego do szóstego miesiąca dozwalałem już niemowlęciu więcej podawać mleka i to biorąc trzy części na jedną kleiku, a od dziewiątego miesiąca już czyste, lecz dobrze przegotowane mleko.

Czynność ta t. j. przegotowanie ma ochronić niemowlęta od grożącego im tu niebezpieczeństwa, godzącego na ich zdrowie i życie. Mamy tu na myśli choroby krów, dzieciom przez mleko udzielić się mogące, z których najgłówniejszą jest gruźlica t. zw. Perlsucht. Zdaniem wielu badaczy może ona pociągnąć za sobą u dzieci, mlekiem takim surowem karmionych, suchoty płuc, kiszki itd. Radzą zatem, aby, żywiąc dzieci mlekiem, nie podawać go od jednej krowy, lecz od wielu i to pilnie śledzonych i strzeżonych — pochodzące. Najdonioślejszą zaś jest i pozostanie rada ta, aby każde mleko, dzieciom podawane, długo i dobrze było gotowane, i to w przyrządach, wskazanych nam przez Bertlinga, Soltmanna, lub Soxhleta, których opis poniżej, choć pokrótce, podać uważamy sobie za obowiązek. Przyrządy te zabezpieczają mleko od fermentacji i niszczą wszelkie chorobotworcze jego domieszki, czyniąc je płonnymi (sterilisiren) i dozwolają przechowanie go przez czas dłuższy w stanie niezmi-

nionym, co zwłaszcza w miastach wielkich doniosłe ma znaczenie. Mleka, zwykłym sposobem gotowanego, nie można przechowywać dla dzieci z dnia na dzień; trzeba już codziennie zaopatrywać się w świeże, i to kilka razy dziennie dojrane. W razie, gdyby takowego uzyskać się nie udało, natenczas najkorzystniejszą jest wybrać dla niemowląt mleko rano wydojone i pochodzące od krów odpowiednio żywionych, co także uwzględnionem być musi. Mleko, pochodzące od krów, karmionych wywarem, słodzinami, skisłą paszą itp. szkodliwie oddziaływa na dzieci. W higienicznych swych wywodach o mleku wypowiada Loebisch *) zgodnie z Taylorem, że trujące części składowe mleka nie tylko tam powstają, gdzie je w stanie kwaskowatym w naczyniach metalowych przechowują, ale nawet i wtenczas, jeżeli zwierzęta, mleko dające, żywią się paszą kiszną, w metalowych naczyniach zachowaną. Podaje nadto, że mleko zwierząt, które rośliny drastycznie działające pożarły, szkodliwie wpływać musi. Użyte jako środek leczniczy przetwory jodu, antymonu, rtęci itd. w mleku odszukać można.

Mleko, pochodzące od krów, latem na skoszonych łąkach się pasących, drażnionych w dni skwarne nieustannie przez owady, pieczonych promieniami słońca, spożywających mnóstwo roślin drastycznie działających z korzeniami, podawanem być nie może nie tylko niemowlętom, ale nawet i dzieciom starszym, bez słusznej obawy o ich zdrowie.

*) Loebisch. „Real Encyclopädie der gesammten Heilkunde“ herausgegeben von Prof. Dr. A. Eulenberg. Band IX, str. 53—59.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROZMAITOŚCI.

(B. S.) **Jeżowe płaszczki przeciw kurateli.** W Ameryce podobno zajmują się bardzo nowym wynalazkiem. Są nim płaszczki ze skórek jeży, zwierzątek, których futerko, jak wiadomo, bardzo jest kolczaste. Również znaną jest rzeczka, że wobec nieprzyjaciela jeże w kłębek się zwijają, stawiając kolce do góry i usuwając nimi od siebie napastników. Otoż ze skórki tych niewinnych, lecz w razie potrzeby umiających bronić się skutecznie zwierzątek wyrabiają płaszczki, i to naturalnie w ten sposób, że kolce stanowią wierzchnią stronę tego nieocenionego okrycia.

Uzbrojony w płaszcz taki zwykły śmiertelnik w razie zaczepki zastawia się nim przed nieprzyjacielem, tamując ostremi kolcami ochotę do dalszych napaści.

Na zachodniej półkuli niezmiernie powodzenie obiecują tym płaszczom, które przede wszystkim niewypowiedziane usługi oddają swym właścicielom wobec osób, mieszających się w nieswoje sprawy.

Przy zupełnym zastoju, jaki obecnie panuje we wszystkich interesach naszej dzielnicy i wobec tak pod wszelkim względem utrudnionej pracy i egzystencji ta nowa gałąź przemysłu mogłaby mieć — sądźmy — powodzenie i u nas, gdzie tyłu znajduje się nieproszonych opiekunów i przyjaciół — Judaszów, będących tak często prawdziwą plagą i udręczeniem dla osób, ani pragnących, ani potrzebujących kurateli.

TREŚĆ: Willa Erlach. Powieść przez Ossipa Schubina. Z języka niemieckiego tłumaczyła A. P. (Ciąg dalszy nastąpi.) — Anioł wspomnienia. (Wiersz). H. St. — Korespondencya „Domu polskiego.“ Z Poznania. Zegota — Wygnancy. Obrazek sceniczny. W. Z. — O włosach. Zofia A. (Dokończenie). — Jak żywić niemowlęta i dzieci napisał Dr. Józef Koszutski. (c. d. n.) — Rozmaitości.